

Zapiski rusofila

Wiesław Kuźmich



Wydawnictwo Key Text

Zapiski rusofila

Wiesław Kuźmicz



Wydawnictwo Key Text

© Copyright by Wydawnictwo Key Text 2016

Redakcja: Cezary Gawryś

Projekt okładki i karty tytułowej: Jacek Tarasiewicz

Projekt kart śródtytułowych: Adam Wojtasik

Opracowanie typograficzne, łamanie: Adam Wojtasik

Wszystkie zdjęcia pochodzą z archiwum autora

ISBN 978-83-64928-00-0 (wersja drukowana)

ISBN 978-83-64928-01-7 (wersja elektroniczna)

Wydawnictwo Key Text sp. z o.o.

ul. Sokołowska 9/410

01-142 Warszawa

tel. 22 632 11 36, 665 108 002

e-mail: wydawnictwo@keytext.com.pl

<http://www.keytext.com.pl>

Spis treści

Prolog

Czerwiec 1955, Siedlce	7
------------------------------	---

Część pierwsza: 1960–1990

Maj 1960, Moskwa – Leningrad	10
Maj 1963, Leningrad	13
Sierpień 1965, Moskwa – Leningrad	15
Wrzesień 1971, Wilno – Ryga – Tallin – Leningrad	17
Październik 1976, Warszawa	20
Maj 1977, Moskwa	21
Maj 1978, Warszawa	22
Styczeń 1980, Dombaj – Moskwa	24
Maj 1981, Phenian – Kesong – Moskwa	27
Grudzień 1981, Moskwa	30
Grudzień 1983, Moskwa	33
Wrzesień 1988, Moskwa – Pekin – Moskwa	34
Styczeń 1990, Mińsk	37
Sierpień 1990, Władykaukaz – Tbilisi – Kijów	42

Część druga: 1991–2015

Listopad 1994, Mińsk	50
Grudzień 1996, Lwów	53
Luty 1997, Sławsko	60
Grudzień 1998, Tallin	70
Czerwiec 1999, Petersburg	72
Grudzień 1999, Warszawa	84
Czerwiec 2001, Lwów – Krasiczyn	85
Listopad 2001, Bruksela	87
Luty 2002, Kraków	90
Marzec 2002, Mińsk	91
Luty 2003, Lwów – Sławsko	94
Maj 2003, Mińsk – Warszawa	96
Wrzesień 2003, Odessa – Ałusztą	99
Wrzesień 2004, Moskwa – Tomsk – Irkuck – Władywostok	102
Wrzesień 2007, Erywań	118
Lipiec 2008, Irkuck – Arszań – Nowosybirsk – Tomsk	120
Październik 2008, Charków	139
Lipiec 2013, Użgorod – Karpaty – Podole – Lwów	145

Zamiast epilogu

Lato 2015, Warszawa	150
---------------------------	-----

Jeszcze kilka zdań... ..	153
--------------------------	-----

Prolog

Czerwiec 1955

Siedlce

Siedzę z babcią na ławce na peronie dworca w Siedlcach. Mam 9 lat, właśnie skończyłem drugą klasę. Za kilkanaście minut pociąg osobowy zawiezie mnie stąd na wakacje do Krynki – zabitej dechami wsi pod Łukowem. Na razie patrzę na inny pociąg, który na chwilę stanął w Siedlcach. Zielone, sypialne wagony, na nich podłużne tabliczki z napisami, których nie umiem odczytać. Odczytuje mi babcia: Berlin–Moskwa, a na jednym wagonie Paryż–Moskwa. Okna z firaneczkami, w każdym przedziale na stoliku nocna lampka, podróżni popijają herbatę ze szklanek w metalowych podstawkach... Uwielbiam podróże pociągiem, a podróż takim pociągiem to musi być coś wspaniałego.

Mieszkam w centrum Warszawy, w pobliżu placu Konstytucji, i chodzę do szkoły podstawowej na ulicy Mokotowskiej, blisko placu Zbawiciela. W pobliżu szkoły są też aleja Róż i aleja Przyjaciół. Mam w klasie koleżanki i kolegów tam mieszkających. Wiem, że niektórzy z nich pojadą z rodzicami na wakacje na Krym. Krymu im nie zazdroszczę. Niewiele wiem, co będą tam robić, a moje wakacje w Krynke: ganianie za krowami wraz z wiejskimi rówieśnikami, pomoc w sianokosach i żniwach, jagody i grzyby w lesie – uważam za całkiem dobry sposób na spędzenie lata. Ale zazdroszczę podróży

do Moskwy tym wspaniałym pociągiem. O podróży w drugą stronę nawet nie myślę. Tam się nie jeździ. Wiem z pogadanek w szkole i w radiu, że tam jest Zachód, na Zachodzie żyją kapitaliści, a nawet jeszcze gorsi od nich imperialiści, którzy wyzyskują robotników i tylko czekają na to, by zburzyć nasz pokój i zawładnąć naszą socjalistyczną ojczyzną.

Ekspres Berlin–Moskwa odjeżdża. Czy będę miał kiedyś okazję przejechać się nim?

Maj 1960

Moskwa – Leningrad

A jednak marzenia się spełniają! Siedzę w przedziale pociągu jadącego do Moskwy! Jadę z rodzicami na dwutygodniową wycieczkę do Moskwy i Leningradu. Wprawdzie rok szkolny jeszcze się nie skończył, ale jestem dobrym uczniem więc w szkole nie mieli nic przeciwko temu, by mnie na dwa tygodnie zwolnić. Mam co prawda dwa słabe punkty. To historia i język rosyjski. Znacznie lepiej



Hurra, jadę do Moskwy i Leningradu!

czuję się w przedmiotach ścisłych, interesuję się radiotechniką, uwielbiam majsterkowanie. Nie tylko cieszę się z tej podróży, ale i mam nadzieję, że uda mi się kupić w Moskwie różne części do budowanych przeze mnie urządzeń.

Na granicy dreszcz emocji. Zasieki, wieżyczki strażnicze, żołnierze z psami wokół pociągu. Zaglądają pod wagony i na dachy, przetrząsają wszystkie przedziały. W końcu wjeżdżamy do ZSRR. Jest późne popołudnie. Jeszcze tylko dwie godziny na zmianę rozstawu kół – i jedziemy dalej.

Wczesnym rankiem następnego dnia pociąg dojeżdża do Smoleńska. Sporo osób z naszej grupy wychodzi na korytarz. W pewnej chwili podchodzi konduktorka, coś pokazuje za oknem, słyszę słowo „Katyń”. Wyczuwam poruszenie, ale przy konduktorze nikt nic nie mówi. Potem jakieś ciche rozmowy o drugiej wojnie światowej. Katyń? Coś słyszałem, ale nie jestem dobry z historii – moje zainteresowania to technika, fizyka, chemia. Zresztą czy o Katyniu coś w ogóle było na lekcjach?

Moskwa – z dworca Białoruskiego wiezie nas do hotelu stary, zdezelowany, śmieszny autobusik. Charakterystyczny smród tutejszej benzyny – komuś zbiera się na mdłości. Hotel na peryferiach miasta, szary blok, wieloosobowe pokoje, wokół drewniane domki – ale na każdym po kilka anten telewizyjnych. Zwiedzanie zaczynamy od metra – te podziemne pałace robią wrażenie! Wszędzie tłum, ludzie szaro ubrani, spieszą się, pchają i potrącają, nie zwracając uwagi na innych. Program wycieczki bardzo bogaty, zwiedzamy wszystko, co tylko jest w Moskwie do obejrzenia, a jeszcze w wolnych chwilach moi rodzice dokładają – a to spektakl w operze, a to eksperymentalny film w kinie z trójwymiarowym obrazem, a jeszcze ogród botaniczny... Kościół katolicki, o którym opowiadała mi babcia (była w Moskwie w swoich latach szkolnych, jeszcze przed rewolucją) – zamknięty.

Wystawa osiągnięć gospodarki narodowej. Coś dla mnie – mnóstwo technicznych eksponatów. Kolorowa telewizja – kolory marne, ale my jeszcze w ogóle nie dorobiliśmy się telewizora. Pierwszy raz w życiu wchodzę do samolotu pasażerskiego. Wystawione są dwa

Maj 1963

Leningrad

Po raz drugi jestem w Leningradzie. Tym razem przywiózł mnie tu, wraz z dużą grupą rówieśników z kilku warszawskich liceów, statek „Mazowsze”. Wycieczkę zorganizował mój nauczyciel geografii, przy pomocy kilkorga rodziców moich kolegów mieszkających przy alei Róż i alei Przyjaciół. „Wizyta przyjaźni” – w porcie wita nas oficjalna delegacja tutejszej młodzieży, ale potem już normalna



„Wizyta przyjaźni”, moi nauczyciele odpowiadają na powitanie
w porcie w Leningradzie

Wrzesień 1971

Wilno – Ryga – Tallin – Leningrad

Już po studiach, ale jeszcze na studenckiej wycieczce, tym razem główny cel to bałtyckie stolice. W Wilnie w hotelu sprzątaczkę rozmawiają po polsku. Pytamy, czy są Polkami? Milkną, potem jedna nagle mówi: „Ja jestem mahomentanką” i obie znikają. Czyżby z polskich Tatarów? Dlaczego uciekły?

W pobliżu hotelu kościół Św. Kazimierza, w nim muzeum ateizmu. Oglądamy eksponaty, w jednej z gablot zdjęcia – nie wiadomo skąd wzięte – na zdjęciach oryginalny opis w języku angielskim: „narzędzia tortur inkwizycji hiszpańskiej”. A po rosyjsku tekst wyjaśnia, że to służyło „polskim panom” i klerowi do znęcania się nad chłopami pańszczyźnianymi. Nieco dalej Ostra Brama. Matki Bożej Ostrobramskiej nie wyeksmitowano. Przypomina się: „Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie!...”. I: „Litwo! Ojczyzno moja!”. Czyja to dziś ojczyzna?

Mamy jechać na wycieczkę do zamku w Trokach, prosimy, by po drodze autokar zatrzymał się przy cmentarzu na Rossie. Nie, tego nie ma w programie. Nalegamy. Pilot tłumaczy na różne sposoby, że jak nie ma w programie, to nie można. Cała grupa nalega coraz bardziej agresywnie. Pilot milknie i bez dalszej dyskusji ruszamy. Autokar kluczy i staje w jakiejś bocznej uliczce. „Macie za 10 minut być z powrotem”. Pędzimy, ktoś ma plan miasta. „Matka i serce Syna” – na grobowcu leżą świeże kwiaty. Po 10 minutach jedziemy dalej. Po drodze autokar – stary i zdezelowany – psuje się, stajemy w jakimś miasteczku przy stacji kolejowej. Idę na stację, jest gorąco,

Październik 1976

Warszawa

Od paru lat pracuję na Politechnice. O dostęp do zachodniej literatury naukowej bardzo trudno. Wiadomo – brak cennych dewiz. Czytam więc głównie literaturę rosyjską, zwłaszcza że są tam też tłumaczenia prac i książek z Zachodu. Dowiaduję się, że w Moskwie w jednej z uczelni jest grupa zajmująca się podobnymi do naszych badaniami. Próbuję nawiązać kontakt korespondencyjny, lecz odpowiedzi nie nadchodzą. Pod jednym z artykułów znajduję nie tylko adres, ale i numer telefonu w Moskwie. Warszawa ma już w tym czasie automatyczne połączenie z Moskwą, więc wybieram numer kierunkowy, potem numer w Moskwie. Kobiety głos pyta, z kim chcę mówić. Mówię, że dzwonię z Warszawy, i wymieniam nazwisko moskiewskiego profesora. Słyszę dźwięk odkładanej słuchawki. Za kilka dni próbuję jeszcze raz, tym razem przezornie nie mówiąc, skąd dzwonię, i starając się, by mój rosyjski brzmiał jak najlepiej. „Nie ma takiego numeru” – oto odpowiedź, jaką uzyskuję.

Nie ma numeru? Ale ja przecież chciałem rozmawiać z człowiekiem, a nie z numerem?

Maj 1977
Moskwa

W Moskwie służbowo – po raz pierwszy i na dalszych kilkanaście lat ostatni. Światowy kongres, na który wysłał mnie mój szef. Wygłaszam referat po angielsku. Mam 10 minut, kończę punktualnie w ostatniej sekundzie, w przeciwieństwie do tutejszych prelegentów, którzy się wyznaczonym czasem nie przejmują. Nie ma pytań. Po sesji pytam kolegę siedzącego na sali, czy słyszał jakieś komentarze. Owszem, słyszał. Komentarz był taki: „No popatrz, taki Pola-czek, a po angielsku gada! Rosyjski mu się nie podoba!”

A mnie się przecież podoba, ale językiem kongresu jest angielski!

W biurze Aeroflotu udaje mi się zmienić rezerwację – będę wracał wcześniej. Z hotelowego pokoju dzwonię (telefon ma miejski numer, połączenie z Warszawą automatyczne) do domu. Ale odzywa się telefonistka. Proszę o połączenie z Warszawą, podaję numer. W odpowiedzi słyszę: Do Warszawy przyjmujemy na przyszłą środę. Jak to – pytam – przecież jest połączenie automatyczne? Jest – odpowiada telefonistka – ale do Warszawy przyjmujemy na przyszłą środę. A przez automat nie można? Przecież mówię, że na przyszłą środę – powtarza telefonistka. Trudno. Idę na pocztę i nadaję depezę.

Głupie pytanie: po co automat, jeśli „przyjmują na przyszłą środę”?

Wrzesień 1988

Moskwa – Pekin – Moskwa

Lecę w podróż służbową do Chin samolotem LOT-u. Tu-154 ma za mały zasięg na trasę Warszawa–Pekin, więc będą dwa międzylądowania: w Moskwie i w Nowosybirsku. W Moskwie lądujemy około północy, po czym dowiadujemy się, że dalszy lot rozpocznie się dopiero o czwartej po południu (nie wiadomo dlaczego), a my mamy opuścić samolot. Rozdają nam cienkie kocyki i wypraszają do budynku terminalu. Terminal Szeremietiewo 2, który kiedyś wydał mi się duży, elegancki i nowoczesny, okazuje się wyjątkowo niegościnny. W strefie tranzytowej nie ma nawet dość miejsc do siedzenia. Sądzę, że powinienem dostać voucher do hotelu, ale dowiaduję się, że musiałby go podpisać przedstawiciel LOT-u, a jego w środku nocy na lotnisku nie ma. Więc próbuję inaczej. Mam ruble i służbowy paszport, po prostu pójdę do hotelu i zapłacę. Nie! Pogranicznik nie chce mnie wypuścić ze strefy tranzytowej, chociaż w poprzednich podróżach przez Moskwę służbowy paszport zupełnie wystarczał, by wyjść z lotniska. Dlaczego? „Wasz LOT się nie zgadza”. Na co się nie zgadza? Co ma nasz LOT do rosyjskich pograniczników? Około trzeciej w nocy pojawia się przedstawiciel LOT-u – wściekły, z czerwonymi podkrążonymi oczami. Atakuje go tłum pasażerów, najbardziej pilotka hiszpańskiej wycieczki emerytów do Chin, która ma nieszczęście podróżować tym naszym samolotem. Emeryci na cienkich kocykach porozkładali się na marmurowej podłodze, a ona kompletnie nie rozumie, jak można tak postępować z pasażerami. Ja żądam wyjaśnień w sprawie możliwości wyjścia do hotelu.

„Oni się nie zgadzają” – wskazuje w stronę budki pograniczników. „Oni mówią, że to LOT się nie zgadza” – ja na to. Nie otrzymuję odpowiedzi, bo inni też napierają. Zrezygnowany łączę po terminalu, w końcu układam się w jakimś kącie.

O czwartej po południu odlatujemy, po czterech godzinach lotu Nowosybirsk, godzina przerwy. Tam już noc. Wszyscy idą do „sali Inturistu” – specjalnej poczekalni dla zagranicznych podróżnych. Po drodze z klatki schodowej rzut oka na główną halę lotniska. Szary tłum podróżnych porozkładanych pokotem na podłodze, teksturowe walizy, jakieś ogromniaste torby, ktoś karmi małe dziecko, ktoś snuje się, czekając na swój rejs... A w sali Inturistu wygodne fotele, można poprosić o herbatę lub kawę, porozkładana propaganda literaturna w różnych językach.

W Chinach atmosfera ekscytacji, nadziei, wielkich zmian. Widać, że kraj jeszcze bardzo biedny, ale mnóstwo się buduje. Wzorzec dla przemian w innych krajach komunistycznych? Trochę im zazdroszczę. Chciałbym mieć w Warszawie takie laboratorium, jakie oni tutaj mają.

W powrotnej drodze samolotem Aeroflotu do Moskwy, tu tradycyjnie będzie przesiadka z noclegiem. Na razie osiem godzin lotu, na sąsiednim fotelu Rosjanin, profesor oceanologii, też wraca z podróży służbowej. Zaczynamy rozmawiać, on wypytuje o sytuację w Polsce, a ja o ZSRR – to już czasy pieriestrojki. On – rosyjski intelektualista w najlepszym znaczeniu tego słowa, o historycznym nazwisku. Entuzjasta przemian zapoczątkowanych przez Gorbaczowa. Mówi, że intelektualiści w Rosji tak wiele zawdzięczają Polsce, opowiada o kolegach, którzy nauczyli się polskiego, by móc czytać „Przekrój” – dla nich okno na Zachód i zachodnią kulturę. Opowiada, że dla niego – wychowanego w duchu ateizmu – wspaniałym źródłem wiedzy o chrześcijaństwie były książki Kosidowskiego. Ciekawe, czy Kosidowski domyśliłby się, że jego książki, pisane przecież z pozycji ateisty, posłużą do ewangelizacji Rosjan?

Pytam mojego towarzysza podróży, co jego zdaniem jest największą przeszkodą w pieriestrojce. Odpowiada bez wahania: mentalność. Przykład: w jednej z kołchozowych wiosek postanowiono

Styczeń 1990
Mińsk

Jadę do Mińska służbowo – z pierwszą wizytą na uczelnię w ZSRR (która – jak wiele innych tutaj – nazywana jest instytutem). Teraz już można, pieriestrojka w pełni. Nie wiem, czy potrzebowali zgody z Moskwy, ale zaprosili mnie jeszcze jesienią, gdy okazało się, że mamy wiele wspólnych naukowych zainteresowań.

Do Mińska można pociągiem – najtaniej, lecz nie najwygodniej, bo od niedawna obywatele ZSRR mogą stosunkowo swobodnie podróżować do Polski, więc w pociągach trudno o miejsce, a na powrót nie można w Warszawie zrobić rezerwacji. A więc lecę samolotem. Na lotnisku witają mnie dwaj panowie z uczelni – starszy, już doświadczony naukowiec, i młodszy dopiero na początku swej naukowej drogi. Jedziemy do miasta kilkunastoletnim moskviczem. Szyba przednia popękana. Zauważam, że w wielu samochodach podobnie, pytam dlaczego? Dostaję zaskakującą odpowiedź: to sami właściciele samochodów uszkadzają szyby, bo to chroni je przed kradzieżą.

Hotel Inturistu, po południu zwiedzanie Mińska. Czy to jeszcze ZSRR? Moi gospodarze pokazują mi kościół katolicki „obecnie Dom Kina, ale wkrótce będzie tu znowu świątynia”, rzut oka z samochodu na jakiś długi budynek: „a tu jest instytut, w którym pracował Lee Harvey Oswald – ten, co zabił Kennedy’ego”, potem jedziemy na peryferie, po jednej stronie drogi osiedle mieszkaniowe, po drugiej las: „a to Kuropaty – tutaj Stalin mordował nasych”. Krótki spacer, przejmujący widok – do drzew przyćpione

Listopad 1994

Mińsk

Po pierwszej wizycie w Mińsku zacząłem zapraszać naszych dwóch mińskich gospodarzy na krótsze i dłuższe pobyty u nas. Pamiętam ich pierwszy przyjazd – gdy wczesnym rankiem wyszliśmy z dworca Centralnego, ich wzrok padł na dwa wieżowce i usłyszałem: „No to przyjechaliśmy do Europy!”. Jak to, Mińsk to nie Europa? – spytałem. Nie, u nas to już Azja – usłyszałem, niby pół-żartem, ale przypomniało mi się powiedzonko: „Azja zaczyna się na dworcu Wileńskim”. Może coś w tym jest?

Po początkowym entuzjazmie i pierwszych przyjazdach współpraca jakoś przestała się kleić. Postanowiliśmy z kolegą z zakładu pojechać do Mińska – teraz już stolicy niepodległej Białorusi – aby zobaczyć, co tam się dzieje, i podyskutować o tym, co i jak dalej wspólnie robić (lub nie robić).

Mińsk wita nas nowym eleganckim lotniskiem. Na ścianie wielka tablica ze spisem towarów, których „dla ochrony rynku wewnętrznego” nie wolno wywozić z Białorusi. Na liście między innymi zegarki. W Mińsku jest wielka fabryka zegarków, teraz także elektronicznych – czyżby ich brakowało na lokalnym rynku?

Nasi gospodarze wiozą nas tym razem do pokoi gościnnych tużejszej Akademii Nauk, a ponieważ nie ma tam żadnej jadłodajni, zostawiają nam wielką torbę z wiktuałami. W torbie tradycyjny białoruski czarny chleb, tutejszy przysmak – „sało”, czyli płat słoniny i trochę innych rzeczy. Jesteśmy wzruszeni troską.

W instytucie jakże inaczej. Znanego mi kierownika katedry już nie ma. Zniknęły również, albo nie działają, te świetne laboratoria,

które tu widziałem. Widoczny na każdym kroku marazm i pesymizm. Co się stało? Tłumaczę mi, że odcięci od „macierzy”, czyli Rosji, nie mają już dla kogo ani za co pracować. Komputery zostały poddane prywatyzacji, albo jak mówią „prichwatywacji” – jakiś cwaniak odkupił je za psie pieniądze i teraz zarabia na ich wynajmowaniu instytutowi. Wynagrodzenia nędzne. Młodzi ludzie nie chcą iść drogą kariery naukowej, wolą biznes, najchętniej zagraniczny. Kto może, marzy o emigracji – na zachód, nie do Rosji. Dowiadujemy się, że młodszy z naszych gospodarzy także widzi swą przyszłość w biznesie.

Opowiadam, że u nas po przełomie lat 1989–1990 też na początku było bardzo źle, lecz już się poprawia. I u nich na pewno też się poprawi! Jakoś nie bardzo słuchają.

Wieczory spędzamy w domach naszych gospodarzy. U młodszego uroczy wieczór, przemiła i niezwykle dowcipna żona, cały wieczór śmiejemy się do rozpuku. U starszego poważniejsze rozmowy. Pytam o te zegarki. Dla nich zakaz wywozu jest całkiem oczywisty. Mówią, że fabryka ma problemy, zmniejsza produkcję, zwalniania ludzi itp. No właśnie – zaczynam tłumaczyć – wasze zegarki są przecież dobre, ładne i tanie (kupiłem jeden dla córki, może się uda przeszmuglować?). Eksportujcie je choćby do Polski, u nas sprzedane zostaną za znacznie wyższą cenę, zakład dostanie więcej pieniędzy, będzie mógł się rozwijać, lepiej płacić pracownikom, zwiększać produkcję. Kręcą głowami z niedowierzaniem. No dobrze, zmieniamy temat. Jaki ten świat mały! Pani domu mówi, że pochodzi z Grodna. Wymienia zaprzyjaźnioną rodzinę Smólskich – kresowych Tatarów. Znał ich również mój ojciec, który w Grodnie chodził do liceum, a z jednym ze Smólskich był zaprzyjaźniony! Dziś ów Smólski spoczywa na tatarskim cmentarzu w Kruszynianach, jego grób przypadkowo w czasie rowerowej wycieczki z dziećmi odkryła moja żona. Więc okazuje się, że jesteśmy z naszymi gospodarzami prawie jak rodzina.

Ale nie we wszystkim jesteśmy jednomyślni. Od wspomnienia Grodna przechodzimy do rozmowy o historii i czasach obecnych. Zdumienie: nasza przemiła gospodyni, osoba światła i wykształcona,

Luty 1997

Sławsko

Ponownie Ukraina – tym razem Sławsko – miasteczko w Karpatach, gdzie Politechnika Lwowska zorganizowała konferencję naukową. Sławsko to ośrodek narciarski, a konferencja zaplanowana na godziny popołudniowe i wieczorne, więc potraktowałem ją jako przedłużenie zimowego urlopu. Z córką Ewą samolotem do Lwowa. Pogoda piękna, niewielki mróz, tym razem przylatujemy bez problemów. Tam czeka Mikołaj – nasz znajomy ze Lwowa, wykładowca Politechniki. Wraz z nim i jego żoną jedziemy samochodem. Droga odcinkami niezła, ale też odcinki koszmarnie, zwłaszcza przy przejeździe przez wioski i miasteczka. Wprost niewyobrażalne dziury i wyboje, miejscami nawierzchni prawie w ogóle brak. Samochodów niewiele, styl jazdy możliwy tylko przy małym ruchu – ścinanie zakrętów, jazda po tej stronie drogi po której mniejsze dziury, wyprzedzanie jak się da. Co jakiś czas stałe punkty kontroli pojazdów DAI – „pamiątka” po ZSRR, wciąż działa. Koło takich punktów wszyscy przejeżdżają bardzo powoli, czekając czy obserwujący pojazdy milicjanci nie dadzą znaku, żeby się zatrzymać. Przed miasteczkiem Skole „dobra” droga odchodzi na zachód (do granicy słowackiej i węgierskiej), nasza – już boczna – wchodzi w rozległą górską dolinę. Jazda po grubej warstwie zlodowaciałego śniegu. Na szczęście to już tylko 20 km do Sławska – ukraińskiego (a niegdyś polskiego) „narciarskiego raj”.

Nasze lokum i miejsce konferencji to „turbaza” (czyli ośrodek wczasowy) o nazwie „Bojkowszczyzna” – od Bojków, nazwy etnicznej tutejszych górali. Niedaleko szosy, w lesie, na samym skraju Sławska. Z rozmachem zaprojektowany budynek, oddany do

użytku 4 lata temu – i już w stanie ruiny! Jako zagraniczni goście (a w dodatku zamożni jak na tutejsze standardy) dostajemy dwupokojowy apartament: obszerny przedpokój z wejściami do toalety z umywalką i osobnej kabiny z prysznicem, salonik z kanapą typu „narożnik”, stolikiem, biurkiem i lodówką, i sypialnia z dwoma łóżkami, biurkiem i wyściełanymi krzesłami. Luksus!

Luksus? Tynk i tapety opadają płatami ze ścian, na podłodze parkiet – niewątpliwie wielokrotnie zalany, czarny, szpary na centymetr, stolarka okienna się rozłazi w rękach, w toalecie goły sedes, zardzewiałe rury i spłuczka, w poprzek lustra przebiega rura, wzdłuż całej wysokości ściany dziura na wylot do sąsiedniej łazienki byle jak zasłonięta połamanymi kawałkami laminowanej płyty, w kabinie prysznicowej na dwóch drutach zwisa z sufitu goła żarówka... Inne pokoje w jeszcze gorszym stanie, część w ogóle bez drzwi lub z wyłamanymi zamkami. Za to jadalnia w dobrym stanie – bardzo ładna, z wielkim panoramicznym oknem. Gości niewielu. Większość to wczasowicze. Uczestnicy konferencji mieszkają w innej „turbazie”, należącej do Politechniki, gdzie znacznie taniej. My płacimy za noclegi i całodienne wyżywienie 15 dolarów od osoby za dobę.

Wyżywienie zadziwiające: rano kotlet mielony z kartoflami, w obiad kotlet mielony z makaronem, na kolację kotlet mielony z ryżem lub z kaszą gryczaną – i tak każdego dnia. Do tego na obiad jakaś zupa, na śniadanie i kolację napój – zwykle kawa zbożowa z kotła lub cienka herbatka. Od czasu do czasu deser – bardzo smaczne, pieczone na miejscu drożdżówki. Wszystko odbiera się samemu z samoobsługowej lady. Ilościowo aż nadto wystarcza, ale Ewa już po dwóch dniach mówi przed każdym posiłkiem, że się jej robi niedobrze. Rzeczywiście, te trzy kotlety dziennie szybko stają się dokuczliwe. Ale trudno pewnie byłoby oferować inne potrawy, bo w „turbazie” w ogóle nie ma noży, tylko widelce i łyżki.

W naszym „lux-apartamencie” przeraźliwie zimno, mimo że kaloryfer grzeje. W sypialni dodatkowy elektryczny grzejnik w stanie gwałcącym wszelkie reguły bezpieczeństwa. Był jakiś kabel, nadpalona wtyczka rozpada się w rękach. Strach włączyć. Do przykrycia tylko cieniutkie kocyki, więc na noc ubieramy się jak do spania

Grudzień 1998

Tallin

Znów w Tallinie, pierwszy raz od turystycznej wycieczki z 1971 roku. Szczerze mówiąc, nie dostrzegam na pierwszy rzut oka jakichś wielkich zmian. Nie ma już na rogach ulic tabliczek z rosyjskimi nazwami ulic ani rosyjskich szyldów sklepowych, jednak rosyjski wciąż powszechnie słychać wokół, jeżdżą rosyjskie łady i autobusy. Ale to miasto już w 1971 roku nie robiło na mnie wrażenia miasta radzieckiego. Piękna starówka nie przypominała i nadal nie przypomina rosyjskich miast. To Skandynawia.

Odnajduję mały katolicki kościółek. Ksiądz – Polak, mszę odprawia po rosyjsku. Trudno się dziwić, Rosjan tu dużo, zapewne katolicy też są wśród nich, a Polaków (poza księdzem) nie spotkałem.

Przyjechałem na spotkanie partnerów projektu międzynarodowego, w którym nasz zakład bierze udział. Nasi gospodarze fundują nam wieczorem nie lada atrakcję: kolację poza miastem z sauną. Kolacja z sauną? A tak. W sosnowym lesie, wśród śnieżnych zasp, budyneczek z salą bankietową, z niej przejście do sauny. Cała wielka ściana sali bankietowej to szyba, wrażenie ucztowania w lesie wśród sosen i śniegu. Po skromnym poczęstunku zaproszenie do sauny: najpierw panie, potem panowie, potem znowu panie (jeśli zechcą...). Nigdy nie byłem w saunie, więc z ciekawością idę wyprążyć się w suchym upale. Jednak nie sama sauna okazuje się najciekawsza. Wraz z nami staruszek – emerytowany profesor – którego gospodarze zaprosili ze względów kurtuazyjnych. Temperatura w saunie wzrasta, a staruszek zaczyna opowiadać, jak to najpierw

ucieł w 1939 roku do Finlandii i starał się pomagać Finom w wojnie z bolszewikami, a potem, już po wojnie, do 1953 roku w lasach takich, jak ten wokół nas, ukrywał się w antyradzieckiej partyzantce. Jak udało mu się uniknąć śmierci lub represji? Nie dowiedziałem się. Myślę sobie: czy starszy pan trochę nie fantazjuje?

Kończy się nasz czas w saunie. Nie odważam się wybiec na zewnątrz i wytarzać w śniegu. Tylko chłodny prysznic i butelka piwa. Pytam naszych partnerów (z jednym z nich jestem już trochę zaprzyjaźniony, spotykaliśmy się przy innych okazjach), jak to było z tą partyzantką. Potwierdzają – była jeszcze parę lat po wojnie. Opowiadają też o masowych wywózkach i o rusyfikacji. I jakoś przetrwali. Taki mały naród, a taki dzielny!

I teraz też widać tę dzielność. Rząd energicznych młodych ludzi szybko unowocześnia kraj, wkrótce okaże się, że Estonia ma jedną z najlepszych w Europie sieć internetu, komputeryzują administrację, rozwijają uniwersytet techniczny w Tallinie, gdzie zresztą nadal część zajęć jest po rosyjsku, bo tak jest lepiej – po prostu pragmatyzm, zdrowy rozsądek.

Małemu wprawdzie łatwiej, ale czyż nie moglibyśmy się choć trochę na nich wzorować? Zresztą co tam my, u nas jeszcze jako tako, ale Ukraina?

Grudzień 1999

Warszawa

Zbliża się noworoczne ekumeniczne spotkanie młodzieży Taizé w Warszawie. Zgłaszam w parafii gotowość przyjęcia kilkorga młodych ludzi na noclegi. Deklaruję znajomość języków: rosyjski, angielski. W rezultacie zjawia się trójka młodych – ale już po studiach – Rosjan z Moskwy. Prawnicy. Chętnie bym z nimi pogadał o Rosji, ale nie bardzo jest kiedy. Oni całe dnie spędzają, biorąc udział w spotkaniach w ramach Taizé oraz zwiedzając Warszawę. Wracają późnym wieczorem. Sympatyczni, ale nie umiem ocenić, jak to jest z ich wiarą w Boga.

Nadchodzi wieczór sylwestrowy. Specjalnie dla naszych gości włączamy rosyjski kanał telewizyjny, wiadomości z Moskwy, oni chcą posłuchać, jakie będą noworoczne życzenia składane przez Jelcyna. A Jelcyn nieoczekiwanie ogłasza uroczystym tonem: „Я ухожу в отставку!”⁴. Niespodzianka, konsternacja! Ale nie ma czasu na dyskusję, bo nasi goście jadą do cerkwi na noworoczne nabożeństwo, a jutro już wyjeżdżają.

Kto po Jelcynie? Putin. Kto to jest Putin? Dokąd poprowadzi Rosję?

⁴ Odchodzę ze stanowiska!

Czerwiec 2001

Lwów – Krasieczyn

Jan Paweł II na Ukrainie, a ja z żoną jedziemy nocnym autobusem do Lwowa na mszę papieską. Wejściówki załatwił nam Sierioża – doktorant, którego poznaliśmy w Sławsku. On sam deklaruje się jako ateista, ale pójdzie z nami na mszę – chce być świadkiem tak ważnego wydarzenia.

Ukraiński autobus ku naszemu zdziwieniu tylko w połowie wypełniony. Słyszysz się opowieści o wielogodzinnym oczekiwaniu na przekroczenie granicy, ale dziś autobus przejeżdża prawie bez czekania, pogranicznicy i celnicy ukraińscy niczego poza obejrzeniem paszportów nie sprawdzają. O świcie Lwów, spotyka nas Sierioża, idziemy przez miasto na hipodrom – miejsce mszy. Nastrój w mieście odświętny, podobny jak w Polsce podczas pielgrzymek Jana Pawła II. Ulewne deszcze zamieniły hipodrom w wielkie błotnisko, mimo to gromadzą się tłumy. Powitanie papieża tak jak u nas pełne entuzjazmu, a po kilku zdaniach wypowiedzianych przez papieża po ukraińsku Sierioża mówi „No proszę, on lepiej mówi po ukraińsku niż ten nasz Kuczma!”. To chyba bardziej wyraz dezaprobaty dla prezydenta Ukrainy niż aprobaty dla papieża.

Po mszy wędrujemy przez Lwów w kierunku parkingu autokarów z Polski, przyjechało na mszę wiele grup z Podkarpacia, a my zamierzamy jechać do Krasieczyna, gdzie mamy nocleg. Po drodze wstępujemy do jakiegoś sklepu, odzywam się po rosyjsku – sprzedawczyni nie reaguje, więc mówię po polsku, co wywołuje powitanie i uśmiech.

Wiesław Kuźmicz, elektronik specjalizujący się w fizyce półprzewodników i metodach projektowania układów scalonych, profesor na Wydziale Elektroniki i Technik Informacyjnych Politechniki Warszawskiej, w przeszłości także profesor w Carnegie Mellon University w Pittsburgu, autor licznych prac naukowych oraz wykładów i seminariów wygłaszanych w wielu krajach Europy i świata. W założonym i kierowanym przez niego zespole powstało kilkadziesiąt unikatowych układów scalonych (w tym układ sterujący do lądownika sondy Rosetta, spoczywającego dziś na jednej z komet, czy układy detekcji mionów do Wielkiego Zderzacza Hadronów ośrodka CERN w Genewie). Wolny czas lubi spędzać przemierzając szlaki i bezdroża gór na całym świecie od Gór Skalistych, przez Alpy i Karpaty, po liczne pasma górskie w Azji.



Tym razem książka prof. Kuźmicza nie jest dziełem naukowym. To z pozoru suche relacje oraz wspomnienia z licznych służbowych i turystycznych podróży, jakie w ciągu ponad pięćdziesięciu lat odbył do krajów położonych na wschód od Polski. Jednak spod tej suchej skorupki wyraźnie przebija się (jak pisze sam Autor) „w jakimś skromnym sensie kronika przemian, jakim podlegała ta część świata. Kronika nie «z lotu ptaka», z punktu widzenia historyka czy politologa, ale «z żabiej perspektywy», perspektywy obserwacji i doświadczeń codziennych, cząstkowych, a jednak układających się w pewien obraz”.